

Księga wyjścia – 34

27 października 2019

Ballada o samotności i dziwnym przypadku redaktora Lisa

Panie redaktorze, jak często i na ile chętnie Pan kłamie? Bo przecież kłamie Pan. Prawda? Uważa się Pan za inteligentnego, słyszałem z Pańskich ust. W związku z tym musi Pan i chcieć i to robić. No więc, jak często okłamuje Pan czytelników, chociaż pewnie używa Pan określenia „barany”?



W gazecie prowadzonej przez wspomnianego, pojawił się artykuł pod tytułem: „ludzie inteligentni kłamią częściej i chętniej”. Na swoim profilu FB odniosłem się do tych słów konkludując, że zgodnie z postawioną tezą, dziennikarze „Newsweeka” albo są głupkami, albo kłamią. W obronie T. Lisa i prowadzonej przez niego gazety, natychmiast rzuciła się na mnie cała masa zwolenników pierwszego i przeciwników PiS. Nie będę pisał o megalomanii Lisa, ani o tym jak traktuje widzów i czytelników, ale według jego własnych słów ludzie, którzy go bronili to barany, których nie wolno traktować poważnie. Odsyłałem do panelu na „UW”, z którego wkleiłem ten fragment wypowiedzi.

Ludzie odporni na argumenty zamykają się w bańkach. W takiej bańce są zwolennicy PO, PiS-u i sióstr Godlewskich. Nie jest ważne, co lider bańki – nazwijmy go bańkowym powie lub napisze, jego zwolennicy rzucą się do gardeł temu, kto śmie go krytykować. Często narażając się przy tym na śmieszność.

Lis jest kiepskim dziennikarzem, ale początek lat dziewięćdziesiątych był świetną trampoliną dla wszystkich miernot. Załapywali się do telewizji i tam dopiero zaczynali się uczyć zawodu. Lis z tej trampoliny skorzystał, nie dlatego, że jest wyjątkowy, ale znalazł się w odpowiednim miejscu o odpowiedniej godzinie. Wygrał jakiś konkurs i wsiąkł, a potem w ekipie pampersów Walendziaka zasiedlił się na dobre, wyleciał USA. Zaczęli uprawiać dziennikarstwo na własnych zasadach i według własnych standardów. Chociaż trzeba przyznać, że teraz to już akademicka klasyka przy obecnym stanie TVP, pod przewodnictwem J. Kurskiego. Choć i on pracował w tamtej telewizji, przyszedł razem z Walendziakiem. Nazwa „pampersy” wzięła się stąd, że nowi szefowie i przychodzący z nimi dziennikarze nie mieli pojęcia o pracy w TV.

Zagrożeniem dla telewizji jest Internet, dlatego jej jedyną bronią jest/powinna być wiarygodność. Wydawało się, że owszem prasę osłabił, ale tego kolosa nie ruszy. A jednak, tym bardziej, że realizatorzy wcale temu nie chcą zapobiec. We wszystkich stacjach partykularne interesy biorą górę i kłamstwo pogania manipulację. Goebbelsowska teza o wielokrotnie powtórzonym kłamstwie jest już nieaktualna, nie przy tej ilości różnych mediów i przekazów, każda nawet tysiąc razy powielana informacja ginie. Chyba, że ktoś ogląda tylko TV Trwam. A większość mediów i tak powiela pasujące im politycznie bzdury, ale główna batalia idzie o krajową politykę. Bo co do międzynarodowej, a zwłaszcza natowskiej, to prawie wszystkie redakcje powtarzają ten sam, często nieprawdziwy obraz. W dodatku z pozycji kolan. A to podobno PRL był taki zniewolony...

No nic, przypomniało mi się, gdy byłem w kosowskiej Mitrowicy. Pojechałem tam bez akredytacji NATO i mieszkałem gdzie się da. Siedziałem na murku naprzeciwko rzeki Ibar – dzieliła ona część albańską i serbską. Jeśli coś się działo, to zwykle tam. W pewnym momencie podeszła do mnie grupa kilkunastu żołnierzy, z karabinami wymierzonymi we wszystkie strony, łącznie ze mną – przynajmniej pięć M-16 we mnie skierowali, ze środka wyłoniła się dłoń z mikrofonem i dziennikarka nie wychodząc zza pleców żołnierzy w kamizelkach, zaczęła mnie wypytywać jak mi się tu teraz żyje jako Serbowi. Już nie pamiętam, czy powiedziałem jej, że też jestem dziennikarzem, czy że czekam na jakiegoś trupa bo poluję na albańskie skalpy, za które płaci mi Karadzić.

Byłem w szoku i chyba wtedy zrozumiałem na czym polega perfidia. Dziennikarze ci nie kłamali, podłączeni do wariografu powtórzą to samo, a maszyna potwierdzi wiarygodność. Ci reporterzy są przekonani, że wiernie i rzetelnie wykonuje swój zawód, nie biorą jedynie pod uwagę tego, że jeżdżą i oglądają jedynie to, co pozwoli im zobaczyć sztab. Sami nie mogą ruszyć się z miejsca zakwaterowania, bo albo jest na terenie strzeżonym, albo jak w Belgradzie mieli wdrukowane, że opuszczenie hotelu grozi śmiercią. Hotelu Intercontinental. Gdy zaczynałem pracę w „Trybunie”, tej pierwszej po przełomie, naczelnym był wtedy redaktor Janusz Rolicki. Jeśli kiedykolwiek wplotłem komentarz do informacji, dostawałem po łapach, mimo że gazeta miała jasno określony, jaskrawo czerwony odcień ideologiczny, to swój komentarz mogłem dopisać pod tekstem i kursywą, tak by wyraźnie go oddzielić. To à propos Lisa i gazety, której przewodzi niczym pasterz stada owiec płci męskiej.

Nadeszła jesień, okres wzmożonego ryzyka nawrotów depresji. Chciałbym chwilę się przy tym zatrzymać. Sporo moich znajomych z „Facebooka” boryka się z tą paskudną chorobą. Ja też. Większość prowadzi fantastyczny, samotny tryb życia. Nie ma nic lepszego, można wyjść z bloku, skrócić w lewo, albo w

prawo, pilot do telewizora na własność. Cudnie. Kolejnego dnia też można wyjść i skręcić w lewo, albo w prawo, pilot się zapodziały, ale to nic. W telewizji wciąż to samo i nie ma co oglądać. Chociaż ostatnio zaczął mnie pasjonować francuski Canal Plus, ale od północy do końca, czyli mniej więcej do trzeciej, potem przełączam na polsatowski Vivasat History i oglądam o zbrodniach w powojennym Londynie, by poczekać na „Muzeum pełne tajemnic”, program to i głupi i mądry jednocześnie. Pretekstem jest zwykle najbardziej niepozorny, najbardziej nijaki i niepasujący do gabloty przedmiot – na przykład zardzewiała śruba z lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Autorzy zatrzymują się i przedstawiają w fabularyzowanej formie jego historię. Pod tym względem bywa bardzo ciekawy i często przypomina nie tak dawne dzieje. Mam z nim jedynie ten problem, że bardzo spłyca fakty.

Powierzchniowo prześlizguje się po jakimś wydarzeniu, najbardziej się wściekam gdy rzecz dotyczy Tesli. Niejednokrotnie sprowadza się jego postać jedynie do konfliktu z Edisonem. To zbyt płytkie przedstawienie geniusza, a konflikt był czymś tak naprawdę marginalnym.

Około piątej kończy się również i ta seria, więc zaczynam dzień. Teraz jest jeszcze dobrze, pilota nie zgubiłem, pogoda ładna, ale tsunami nadchodzi. Podczas depresji najgorsze są poranki, które trwają do wieczora, nie ma przedpołudnia, południa popołudnia. Jest rano i wieczór, wieczorem przychodzi lekka ulga. Może dlatego lubię nie spać od północy do rana. Wtedy zwykle ta depresja najmniej dokucza. No dobra, pora znowu wyjść z domu – może teraz prosto? Po jakimś czasie orientujemy się, że wychodząc z domu, chwilę myślimy – w lewo, w prawo czy prosto? W końcu niezdecydowani wracamy, tak może być przez kilka dni. Później jest ten sam dylemat w wersji mini. Wstajemy z łóżka i się ubieramy, ale po co, jeśli nie wiemy gdzie skręcić, po kilku dniach przestajemy wstawać i wtedy zaczyna się koszmar, o którym niejednokrotnie już pisałem. Samotność jest fantastyczna, ale z kimś bliskim.

Inaczej może i najczęściej nas łamie.

Nie dajmy nabrać się na uśmiechnięte miny znajomych. Maską chorego na depresję jest proporcjonalna do bólu, który go draży. Tacy ludzie nie proszą o pomoc, nie wprost. Trzeba umieć czytać z oczu, mowy, gestów. Jeśli oczywiście nie mamy tego w dupie, zachłystnięci amerykańskim stylem życia, że wszystko „it's all right”. Często jest bardzo nie „all right”, bywa że nieświadomie uratujecie komuś życie prostym i banalnym pytaniem, nie ma uniwersalnego, trzeba tego kogoś znać by dobrać odpowiednie słowa. Zaproszenia nie przyjmie, niechętnie też zaprosi do siebie, więc nawet nie próbujcie się usprawiedliwiać, że zrobiliście wszystko co w ludzkiej mocy, gdy pewnego dnia, ktoś zadzwoni, że ów znajomy się powiesił.

Depresja ma coś wspólnego z Downem i autyzmem. Chory chciałby, by ktoś bliski okazał mu czułość, przytulił, ukoił. Ale tylko osoby wybrane przez niego. Inaczej tylko pogorszy to stan chorego i jego poczucie samotności. W sumie nie wiem czemu o tym piszę, jesień to pretekst, drugim jest to, że sam się z tym zmagam podobnie jak wielu z Was. Wiem, bo niemalże każdego dnia z kimś o tym rozmawiam na messengerze. Pierwsze objawy to brak wiary w jakikolwiek sukces, brak celu, zadaniowość już nie działa, litość irytuje. A dalej nie pamiętam, bo czas staje i budzą się wszystkie demony. Naciągany celem tego, że o tym piszę, może być przestroga, ale ona nic nie da, bo chory i tak zapadnie, a zdrowy za cholere nie zrozumie, więc ten cel to lipa. Już bardziej prawdopodobne jest to, że nie mam innego pomysłu. Zaraz muszę wstać, wyjść z domu i zastanowić się czy skręcić w lewo, prawo.

A wracając do Tomasza Lisa, tylko od uczciwości i kręgosłupa zależy czy kłamiemy, czy też mówimy prawdę. Mądry, kłamię inteligentnie, a głupi głupio. Po zamieszczeniu przez Pana tego tekstu śmiem twierdzić, że należy Pan do tej drugiej grupy. Ale mogę się mylić, jak Pan zauważył, nie wolno widza, w tym wypadku czytelnika traktować poważnie, bo tego nigdy nie wybaczy. A ja głupi zawsze poważnie i z szacunkiem

podchodziłem do czytelników. Pewnie dlatego nie jestem naczelnym „Newsweek”, a skromnym publicystą „DT”.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info